

2.

Śnił mi się sen, jeden z tych snów, które są zupełnie bezużyteczne. Nie jest to żaden dramat ani nic pięknego. Ani nic obrzydliwego. Jest to tylko epizod, jak widok kogoś, kto odsuwa krzesło, aby na nim usiąść. I wtedy sen się kończy. Mrużę oczy w ciemności. Coś słyszę. Coś wyrwało mnie ze snu. Może na tym krześle miał usiąść ktoś, kogo znam? Słyszę dudnienie dochodzące z przedpokoju. Słyszę kroki zmierzające do salonu. To niemożliwe – przychodzi mi do głowy. Nie jest przecież możliwe, żeby ktoś tu był. Złodziej! Chowam się pod kołdrą, ale trzęsę się ze strachu tak bardzo, że mam wrażenie, że ten strach musi ze mnie promieniować, wrzeszczeć. A potem wystarczy tylko zdjąć koc i czymś mnie uderzyć. Muszę się bronić. Wskakuję z łóżka, wyciągam przewód od lampy z gniazdka i z lampą jak maczugą wchodzę zdecydowanie do salonu, szybko zapalam światło i patrzę mu prosto w oczy. To facet z czwartego piętra. Ten z dziwnymi oczami. Patrzymy na siebie i właściwie mogłoby to wyglądać jak jakaś romantyczna scena. Ale potem on zakrywa twarz, odwraca się i ucieka. Chcę wrzasnąć, że go rozpoznałam, że go zdradzę, ale zmieniam zdanie. Idę zamknąć za nim drzwi, ale zauważam zepsuty zamek. Przymykam więc tylko drzwi i czuję się, jakbym była naga, jakbym była w miejscu publicznym, do którego każdy może przyjść i wziąć, co chce. Przesuwam szafkę na buty do drzwi i czekam do rana. Wtedy zadzwonię do ślusarza. Chciałabym się trochę przespać, ale nawet jeśli zamknę drzwi na dwie zasuwki, zostawię w zamku klucz i zastawię wejście szafką

na buty, to i tak będę się bać, że ktoś może przyjść. A gdy na chwilę zacznę przysypiać, w półśnie natychmiast widzę jego oczy. Nic nie mówią. Po prostu patrzą na mnie i nie wiem, czy jest w nich zło, czy rozpacz.

Siadam na krześle i patrzę, co się dzieje na zewnątrz. Słyszę trzask frontowych drzwi, więc wystawiam głowę przez okno. Jest piękna wiosna. Widzę tę młodą rodzinę, jak idą na spacer. Dzieci ciągle na coś krzyczą, a ich matka pisze esemesy. Trzyma w dłoni telefon komórkowy i prawie nie zauważa, że zderza się z tym facetem. Mówi mu „Przepraszam” i zupełnie nic nie wie o tym, że on nocami okrada swoich sąsiadów. Facet wchodzi do środka, a ja się boję. Instynktownie spoglądam w stronę korytarza, chociaż zdaję sobie sprawę, że on nie wraca na miejsce zdarzenia, tylko po prostu idzie do domu. Do siebie do domu. Słyszę windę. Powinnam o tym powiedzieć. Powinnam o tym komuś powiedzieć. Na przykład tej kobiecie, którą okradł. To na pewno był on. Pamiętam, że ktoś jej powiedział, że kamery nic nie pomogą. Że rozmazany obraz czyjejś twarzy i tak nic jej nie da. Nie jestem teraz pewna, czy to nawet nie on tak powiedział. Ale dlaczego okrada swoich sąsiadów? Idę popatrzeć z kuchni na podwórko. Na ten nasz dąb. Nazywaliśmy go z moim mężem „naszym dębem”, odkąd zaczęliśmy tu mieszkać. Ponieważ patrzyliśmy na niego, jedliśmy śniadanie, a jednocześnie przy tym marzyliśmy. Miałam brzuch jak bęben, a on mówił, że chciałby dziewczynkę, że właściwie jest mu obojętne, ale gdyby mógł wybrać, to woli dziewczynkę, a później oświadczył, że za nic na świecie nie chce chłopca. Że kobiety są w stanie osiągnąć więcej. Mimo że mój mąż z pewnością osiągnął więcej niż ja. A już na pewno w pracy. Był redaktorem działu zagranicznego w gazecie i poważnie traktował swoją pracę. Gdy coś czytał, to czytał to uważnie. Żadne słowo nie było nieistotne. Traktował to śmiertelnie poważnie. Mawiał, że to nie jest obojętne, że ważne jest, aby się poprawnie wypowiadać, nawet jeśli czasem są to kłamliwe słowa, to przynajmniej w swej istocie są prawdziwe.

„Nie możesz, po prostu nie możesz powiedzieć, że coś wisi w powietrzu, ponieważ tak naprawdę nie wisi”. Chciał ode mnie prawdziwych stwierdzeń. Patrzę na ten dąb i słyszę trzask drzwi prowadzących na podwórko. Ktoś idzie wynieść śmieci. Zwykle, gdy trzaskają drzwi, ktoś idzie wynieść śmieci. Albo ta młoda rodzinka idzie się tam bawić. Żeby pokazać, że podwórko należy też do dzieci. I byłoby lepiej, gdyby była tam zjeżdżalnia. I wtedy go dostrzegam. Tego faceta. Trzyma w dłoni plastikową torbę, otwiera pokrywę kosza na śmieci i wrzuca ją tam. To oczywiste, że nawet ten facet, który okrada mieszkania, musi mieć w domu porządek. Przecież to tylko człowiek. Człowiek, który wynosi śmieci. Który należy do naszej społeczności, który tu mieszka i codziennie jeździ windą, a co drugi dzień wynosi śmieci. Może ma gdzieś dziewczynę. To, co widziałam w jego oczach, to mogła przecież być tylko rozpacz, a nie zło. Może mogłabym spróbować zasnąć. Aby udowodnić, że po dzisiejszej nocy nadal mogę spać. I usypiam. Bez snów. Budzę się około drugiej po południu i znowu słyszę dźwięk windy. Jedzie krótko. To będzie ta, co mieszka naprzeciwko. Najstarsza kobieta w kamienicy. W ogóle najstarsza osoba w kamienicy. W tym roku skończyła dziewięćdziesiąt dwa lata. Dziewięćdziesiąt dwa lata. Prawie cały wiek na świecie. Nie chodzi już o doświadczenia, które zdobyła, ale o życie w różnych czasach, reżimach, których młodzi ludzie już nawet nie są w stanie sobie wyobrazić, ale nie chcę moralizować. Chcę opowiedzieć o tej kobiecie. O tym, ile ma lat i że najwyraźniej tylko czeka na śmierć. Ale ona nie czeka na śmierć. Ona wita każdy dzień z otwartymi ramionami. Już kilka razy się zastanawiałam, kim ona jest. Musiała być wredna. Przynajmniej dla facetów. Wychodzi z domu wyszykowana, jakby miała trzydzieści lat. Zawsze zadbana. I czuć od niej perfumy. Powiedziała mi kiedyś, że urodziła się kobietą i pozostanie kobietą aż do śmierci. Miała w sumie dwóch mężów i obaj są już pochowani, ale żaden z nich nie zmarł w trakcie trwania małżeństwa. Za każdym razem to ona decydowała się na rozwód. Mawiała, że nie rozumie, dlaczego kobiety są w związkach z mężczyznami,